

Rehabilitacja Fonsia

WOJCIECH NATANSON

Teatr „Komedia” na Żoliborzu wystawił starą farsę Ryszarda Ruskowskiego „Wesele Fonsia”, w adaptacji Jerzego Jurandota. Psy niegdyś wieszano na tej sztuce, napisanej przez aktora, który na krakowskiej scenie upamiętnił się, podobno, rolą hr. Kotwicza w „Rozbitkach”. Umarł młodo, mając 44 lata (w 1898). Pisywał sam, lub do spółki z ziemianinem ormiańskiego rodu, Adolfem Abrahamowiczem. Ciekawa to spółka autorska. Zapewne Abrahamowicz dostarczył pomysłów ze swego środowiska. Ruskowski, znawca teatralnych mechanizmów puszczal je w ruch.

Jeden motyw wracał w tych utworach. Niedolega, nieśmiały młodzieniec, pozornie pozbawiony energii, przeobrażał się w człowieka zdecydowanego, pewnego siebie, zwycięskiego. Tak było w „Mężu z grzeczności”, krotkowie napisanej wspólnie z Abrahamowiczem. Pomysł ten zjawiał się w „Weselu Fonsia”, gdzie chłopak „wypożyczony” do zagrania roli męża, ma służyć za narzędzie zemsty. Ale pod koniec przejmuje inicjatywę i załatwia wszystko po swojej myśli. „Nie ufajmy pozorom!” zdaje się sugerować autor.

Jest to myśl dość ciekawa. Podobnie, jak i swoista „teatralizacja” życia. Ów „małżonek z grzeczności” ma służyć do odegrania narzuconej mu roli. Wystąpił jedynie na weselu, które zostało zapowiedziane, więc musi się odbyć. Fikcyjny małżonek ma zniknąć, „zdjawszy kostium” (tu: pożyczony frak). Dopiero on sam — swą upozowaną funkcję przemieni na rzeczywistość. Jerzy Jurandot i Jerzy Wasowski fachowo tę krotkowie opracowali. Kompozytor dorzucił melodie niebanalne a miłe. Jurandot nie tylko ukończył ich teksty, ale i przeniósł akcję z XIX stulecia w lata dwudzieste. Nie karetami się już jeździ, ale autami. Emancypantki zmieniły się w „garsonki”. Nogi się podrywają do tańczenia shimmy. Mieszani-na obyczajowa stwarza nowe okazje zabawy.

W adaptacji zmniejszono ilość postaci (z 22 na 6). Opuszczono

chłopa, dzierżawcę, muzykanta etc. Okazało się, że „Wesele Fonsia” może i dziś bawić. Gdy je zagrano w sierpniu 1939 r. jeden z młodych krytyków rozdarł szaty. Mimo, że scenografię projektował Daszewski, a w obsadzie błyszczą nazwiska Marii Dulęby, Niwińskiej, Zellińskiej, Rolanda, Solarskiego, Łapińskiego, Zukowskiego, Koczanowicza... Wiadomo, jak trudna jest sztuka zabawy. Na szczęście reżyser Lech Wojciechowski daje do zrozumienia, że nie wszystko brać należy dosłownie. Bandaże na twarzy poturbowanego szybko znikają. Nie musimy się śmiać z rzekomego „złamania szczęki”. Aktorzy używają środków rozmaitych. Niektórzy dyskretnych, a skutecznych, jak się to dzieje w wypadku dwóch pań: Eufemii (Heleny Bortnowskiej), i Anastazji (widzianej z podwójnej obsady Danutę Gallert, może nieco za młodą, ale ujawniającą dowcip szczerzej próby). Zrećnie została też zarysowana postać tytułowa: Bogusław Koprowski daje jej rozczulający wdźwięk niedźwiadka. Bogumił Kłodkowski (Mroźnik) ma styl niemal „Wiechowski”. Zdzisław Nowiński „utanczcił” Dorowskiego. To co jest u niego z ducha baletu mocniej działa, niż elementy komedii. Z wykonawczyń ról panieńskich wdzięczniejsze zadanie (niespodzianki i przeobrażeń) miała Hanna Orszynowicz.